



NAPISAŁ T. M. NITTMAN.

ILLUSTRACJE ALFR. ŻMUDY.

6)

Wszystko dotychczas poszło gładko, wymknęli się niepostrzeżenie z zamknięcia, w gąszczu leśnym, na skraju pustyni czekały już trzy osiodłane wielbłądy. Wskoczyli szybko w strzemiona, a potem przed siebie w dal, w noc, w pustynię!

Teraz jednak Jurek już miał dosyć tej jazdy, przerachował się co do sił swoich i tak nadwątłonych ciężką pracą w obozie.

Pozatem, skopana, zbita głowa dolegała mu również dotkliwie!

Każdy członek miał obolały, czuł się roztrzęsiony na tym dziwnym wierzchowcu.

Omdlewał ze zmęczenia.

Czuł, że udziela się to jego wielbładowi, który radbyłby już też odpocząć.

Tymczasem zostawał coraz bardziej w tyle... W różowo-złotem świtanu ci dwaj, na przodzie, przystanęli koło jakichś ruin, w zamierzchną oddał prawników sięgających, czekając na niego.

A on dojeżdżał zwolna

Wreszcie, co za ulga! Mógł zsunąć się z siodła na miękki piasek i paść na wznak i wypocząć z rozkrzyżowanymi ramionami.

Tom spojrzął na niego i mruknął tylko:

— O, ten ma dosyć!

A następnie pogwizdując wziął się do rozdzielania wody i daktyli, których zapas wzięli ze sobą na drogę.

Siedząc tak w trójkę na ziemi raczyli się tem skromnem śniadaniem.

Opalona, ściągła twarz Kanadyjczyka pokryła się kroplami potu.

Jurek był również spocony a gorączkowe wypieki okrasiały zwykłą bladość jego młodzieńczej twarzy.

Jeden arabczyk trzymał się wyśmienicie, z apetytem gryząc daktyle.

Wielbłądy, zostawione same sobie, porozłaziły się, szukając ostów pod czerwonymi głazami, rozrzuconymi tu i ówdzie.

Przecudny wschód słońca ozłocił wkrąg piaszczystą pustkę.

Jurek, Tom i Cwał złożyli tymczasem radę wojenną, co robić dalej?

Byli wolni, ale cóż? Nie pozostawało im nic innego, jak starać się dostać do linii angielskich placówek.

Inaczej czeka ich powolne konanie z głodu i pragnienia.

Nie bardzo wiedzieli, gdzie są, ale w każdym razie setki mil mieli jeszcze do przebycia.

Tom z pamięci narysował palcem, w przybliżeniu, mapę Syrii.

Wynikało z niej, iż należy dążyć wciąż, na południowy-wschód, aby dostać się w strefę działania armji angielskiej.

Wobec czego, popasawszy jeszcze chwilę, dosiedli wierzchowców i jechać poczęli, krokiem już, sądząc się dość bezpieczni, wprost ku słońcu, ku ujściu Eufratu, ku starożytnym ruinom Babilonu.

Słońce podnosiło się coraz wyżej na niebie, dzień stawał się coraz bardziej upalny.

Koło 10-tej zatrzymali się w kotlinie, gdzie znaleźli między kamieniami naturalne źródło. W cieniu paru nikłych drzew rozłożyli się obozem.

Cwał uścielił Jurkowi swój burnus, zdjął siodła z wielbłądów i począł przygotowywać skromny posiłek. Młodzieńcy syn pustyni zdawał się być w swoim żywiole. Uwijał się za trzech.

A tamci dwaj biali dziwnie byli zdenerwowani. Bo też powietrze przesiąknięte elektrycznością, działało tak podniecająco! Nieruchome i jakby szklane drżało lekko w oślepiających promieniach słońca.

Krew szumiała im w skroniach, pokrytych potem, języki z trudem obracały się w ustach, niby drewniane kołki.

Kanadyjczyk leżał wyciągnięty na piasku, nieruchomy i posępny.

Jurek zwinięty w kłębek, stękał obok i pił zachłannie z miedzianego kociołka ciepłą, mdłą wodę, mimo przestróg Cwała...

Nagle Anglik porwał się w pasji:

— Stul że pysk raz nareszcie, ty smyku. Usnąć nie można przy twojem nieznośnem kwękaniu.

Jurek zaperzył się też.

— A to idź sobie gdzieindziej spać, jeśli ei przeszkadzam.

— Ja ci tu zaraz kości połamię, jak będziesz zbyt zuchwały! Smarkacz!

— Spróbuj, kiedyś taki mocny?!

I obaj porwali się z pięściami ku sobie.

Nadbiegł na to przerażony Cwał.

— Effendi! O Effendi!

Nie bić! Nie złościć się! To szkodzi. A potem popatrzył zaniepokojony w górę.

— Niedobre niebo. Czerwone! Wiatr iść od południa. Niedobry wiatr, pałacy!

To może być całkiem źle! Szkoda się gniewać i tak może Ałach pokarze nas wszystkich za chwilę. Ałach ek akbar!

Effendi! Spojrzeć na niebo, na słońce, jak w czapce! Wie co to jest? To zbliżać się Samum, śmierć, zagłada!

I na uspokojenie dał każdemu herbaty z rumem.

Kanadyjczyk porwał swój kubek i koc i powłókł się o kilkadziesiąt kroków dalej, mruczając coś gniewnie po angielsku.

Jurek pił swoją porcję, lecz zęby mu szczękały, uderzając o blaszanekę.

Patrzył też wokoło siebie wzrokiem złym, niespokojnym...

„Cwał“ podpełzał ku niemu i położywszy mu głowę na kolana, patrzył z czułością w twarz jego oczyma oddanego psa.

— Co się gapisz na mnie, jakbyś mnie nigdy nie widział? burknął Jurek.

Mimo żaru lejącego się z nieba, wstrząsały nim od czasu do czasu dreszcze.

— Biedny Effendi! Nie wytrzymać Samum pod gołym niebem. Europejczyk chronić się między mury.

Spokojnie Effendi, spokojnie.

Ałach sprawiedliwy! Może uratuje nas!

Na to żołnierz, nie mogąc już panować nad sobą, zaniósł się spazmatycznym płaczem i ukrył twarz mokrą od łez w rozpalonym, żółtym piasku.

Troskliwie nakrył go Cwał wełnianym burnusem całego, by choć trochę uchronić od spiekoty i delikatnie pogładziwszy wysuniętą z pod okrycia rękę, oddalił się smutny ku wielbładowi, co



zbite w gromadkę, leżały na ziemi, dysząc ciężko. Ich wielkie, wilgotne oczy, pełne lęku, zwróciły się ku dziecku i ucieszone, że choć ono jest w pobliżu, lizać poczęły jego twarz szorstkimi jęzorami. Ich włochate pyski ociekały lepka śliną.

Mały Arab wtulił się w wyleniały bok zwierzęcia i usnął z głową, zwieszoną na ramię.

Na małej oazie zapanowała martwa cisza południa. Czasem jeno

ziarenka piasku, wiatrem trącane, osypywały się ze szmerem.

Na niebie tymczasem dziwne dziać się poczęły rzeczy. Słońce okryte jakby mgłą ołowianą poprzez gęsty woal rdzawe rzuciło promienie.

Czarne i kłębiaste chmury nawiewały z południa.

Koło 4-tej począł dąć daleki, silny wiatr, o rozłożystym szerokim oddechu, a tak upalny, iż skręcał liście palm, niby suche, papierowe rurki.

Wysokie leje piasku podnosiły się w krąg, miotając gryzącą płucą kurzawą.

Pierwszy zbudził się „Cwał“...

Rozejrzał się wokoło i krzyknął przerażony:

— Samum!

Jego towarzysze zerwali się na równe nogi...